

Julian Tuwim

Bazyliszek w warszawskiej piwnicy, czyli straszna śmierć dwojga dzieci i służącej : a także ciekawe wiadomości o smokach, syrenach i innych straszliwych potworach

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1/2 (60/61), 219-222

2000

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Julian Tuwim

Bazyliszek w warszawskiej piwnicy,
czyli straszna śmierć dwojga dzieci i służącej.
A także ciekawe wiadomości o smokach,
syrenach i innych straszliwych potworach¹

Trzeba by nie jednej wołowej skóry, ale chyba dziesięciu, żeby na nich drobnym maczkiem spisać wszystkie historie o straszliwych bestiach, potworach i dziwolągach, w starych, rzadkich księgach opisanych. W naszej małej książeczce znajdziecie maleńką tylko częśćkę tych grozą przejmujących opowieści.

Posłuchajmy najpierw, co się wydarzyło w roku 1587. Oto własne słowa staro-dawnego kronikarza: „W onym roku, w Warszawie, w obecności więcej niż dwu tysięcy ludzi, wydobyto żelaznymi cęgami z gruzów pewno [pewnego? – A.K.] prawdziwego Bazyliszka. A było tak. Syn pewnego miecznika i córka jego sąsiada, oboje pięcioletnie dzieci, dla zabawy grzebały piasek pod piwnicą gmachu przed trzydziestu laty zawalonego. Dokopawszy się schodów, zeszły na dół i natychmiast w tym lochu wyzionęły dusze. Gdy nadszedł czas obiadowy, obiedwie matki zaczęły się niepokoić, że się dzieci do stołu nie zjawiły. Żona miecznika posłała po nie służącą. Ta, zastawszy je na ostatnim gradusie (tj. stopniu) schodów, myślała, że posnęły. Zaczęła je budzić – nic nie pomogło. Zaczęła przeraźliwie krzyżeć, ale gdy i to pozostało bez skutku, zrobiła parę kroków dalej, w głąb piwnicy, i ach! sama w tej chwili padła nieżywa.

Zdarzenie to szybko rozeszło się po całej Warszawie. Zbiegli się obywatele, dziwią się, badają przyczynę. Rzecz dochodzi wreszcie do prezydenta miasta. Ten wydał rozkaz, aby trupy hakami na żerdziach osadzonymi z lochu wyciągnąć. Gdy

^{1/} Julian Tuwim wczesną jesienią 1952 r. przyniósł *Bazyliszka* do redakcji „Nowej Kultury”. Finał ma związek ze zbliżającymi się wyborami do Sejmu PRL (odbyły się w październiku). Nie został opublikowany. Rękopis w zbiorach Aliny Kowalczykowej.

Achiwalia

je wydobyto, było [były? – A.K.] jako bębny nadęte, język ich zapiekl się, a oczy napuchły wielkością swoją polowie kurzego jaja dorównywały. Był tam wśród tłumu ludzi i cyrulik królewski imieniem Benedykt. Starzec ten domyślił się, że w owej piwnicy musi być jakaś jadowna gadzina, której oddech trujące wyziewy sprawiał, a ta gadzina nie co innego będzie, jeno Bazyliszek. Spytany, jakim by go sposobem można stamtąd wydostać, odpowiedział: «Potrzeba do tej piwnicy kogo posłać i pozawieszać na nim zwierciadła. Bazyliszek bowiem, gdy tylko własne swe wyobrażenie zobaczy, natychmiast zdechnie».

A było podówczas dwóch na karę śmierci skazanych, jeden z Warszawy, drugi ze Śląska. Powiedziano im, że jeśli który z nich, do piwnicy stąpiwszy, tego jadowitego węża zabije, od kary śmierci za to uwolniony będzie. Ślązak natychmiast na ten warunek przystał. Odziano go tedy w skórę, pozawieszano na niej zwierciadła, przytwierdzono do oczu okulary, jedną rękę uzbrojono żelaznymi cęgami, do drugiej zaś zapaloną dano pochodnię. Po czym cały na kształt słupa zwierciadlanego, wpuszczony był do lochu. W godzinę potem, gdy już wszystkie zakątki piwnicy przejrzał, a żadnego węża nie znalazł, o drugą pochodnię zawołał, dodając, że gadzina musi być w drugiej, sąsiedniej piwnicy, do której wniście gruzami było zasypiane. I w samej rzeczy: gdy je rozgrzebywać zaczął, nagle długo poszukiwaną bestię w szparze muru leżącą spostrzegł. Gdy to ludowi nad wniściem stojącemu ogłosił, Benedykt cyrulik doradził mu, ażeby za pomocą cęgów onego potwora na światło wydostał. Co gdy ów Ślązak uczynił, cyrulik na pierwszy rzut oka poznał zaraz Bazyliszka. Wielkość miał średniej kury, grzebień jego był na kształt korony błękitnego koloru, grzbiet wyrostkami pokryty, a oczy jak u ropuchy żółto nakrapiane, co jad oznacza”.

Tyle nasz kronikarz. Uczeni naturaliści dawnych czasów mówią, że ukąszenie Bazyliszka sprawia zapalenie, żółto jątrzącą się ranę i wypadanie włosów; lekarstwem zaś przeciw temu ma być jakieś węż d r z e w o, na wyspie Cejlon rosnące. Dla swej rzadkości Bazyliszek był przez ówczesnych badaczy natury wielce poszukiwany, znaleźli się więc szalbierze, co sztuczne okazy zaczęli fabrykować. Przyrządzali je z pewnego gatunku ryby, zwanej R a j a; ryba ta płaska i chuda, więc po zasuszeniu można jej było przydawać dowolne kształty. Egzemplarz taki można było oglądać w gabinecie przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego jeszcze w roku 1819.

Wiemy wszyscy, jak to szewczyk Skuba chytrym fortem zgładził smoka gnieżdzącego się w wawelskiej pieczarze, więc już tej historii tutaj nie powtórzymy. Ale podamy, znowu ze starych ksiąg, inne ciekawe szczegóły o tych okropnych potworach. Były to olbrzymie węże z paszczą zwierzęcą, z której ustawicznie buchały płomienie; skrzydła miały orle, a nogi z zakrzywionymi szponami. Ogień zięjący ze smoczej paszczy zarażał powietrze na parę mil wokoło, a gdy się mimo znalazł jaki śmiałek i zbliżył się do kryjówki tego straszdyła, padał wnet, rażony samym uderzeniem jęzora lub otruty jego jadem. Blisko Niederburga, w Niemczech (pisze uczony Gesnerus) kilkanaście osób zmarło śmiercią gwałtowną po kąpieli w rzece, przez którą smok przepłynął. A przecież bywały wypadki, że się ten zgrozę

Tuwim Bazyliszek w warszawskiej piwnicy...

budzący potwór dawał oswajać. Nie do wiary! Ale jakże nie wierzyć, skoro z pism starożytnych mędrców mamy wiadomość, że filozof grecki imieniem Heraklit posiadał ugłaskanego smoka, który w jego domu sprawował urząd psa i gdy filozof spał, smok nad nim czuwał i stopy mu liżał. Przedziwną ze smokami przygodę miał pewien bednarz z miasta Lucerny w Szwajcarii. Zabłądził on kiedyś w okolicznym lesie i tam przenocować musiał. Gdy się rozwidniło, poszedł szukać drogi, ale wpadł w dół błotnisty i zemdłał, a kiedy się ocucił, spostrzegł, że znajduje się w skalistym lochu przypominającym studnię. Jakież było jego przerażenie, gdy nagle ze wszystkich stron wypęczać zaczęły smoki i ścisnąć go ogonami. Przebywał on w tym więzieniu od listopada do kwietnia, posilając się lizaniem skał, słonym płynem ociekających. Dopiero na wiosnę smoki na skrzydłach swoich wyleciały z podziemnej jaskini. Bednarz złapał jednego z nich za ogon – i w ten sposób wydostał się na świat boży. Opisał ten wypadek pewien starodawny naturalista, zwany Cysatus.

Na pożółkłych ze starości kartach najrzadszych ksiąg i rękopisów wiele innych jeszcze znajdziemy świadectw o wielorakich monstrach, które nie wiedzieć jak i kiedy powstały, nie wiedzieć jak i kiedy wyginęły. Hydry stugłowe, salamandry ogniste, sfinksy, behemoty, lewiatany, feniksy, cerbery, jednorożce, bezgłowe zwierzoludy, olbrzymowie z uszami do ziemi zwisającymi, ludzie z psimi głowami (tak zwani Kynocefale) – któż by ich wszystkich wylczył? Kto zdołałby same ich nazwy spamiętać? Ale o jednej postaci koniecznie musimy wspomnieć – choćby dlatego, że się ona, w jakiś tajemniczy sposób i z niezbadanych powodów, stała herbem naszej stolicy. Mówimy oczywiście o syrenie. Dzisiaj, gdy już żywych syren nie widać, możemy spokojnie, nawet z pewną czułością, myśleć o tej pół-pannie, pół-rybie. Ale niegdyś, parę tysięcy lat temu – o, jaki postrach, jaką zgrozę budziły syreny w umysłach żeglarzy! I nie można się im dziwić, bo wyruszając w dalekie morskie podróże narażeni byli na to, że syreny najpierw uspią ich czarodziejskim swoim śpiewem, potem zaś uduszą i pożrą. Wiedział o tym niebezpieczeństwie sławny podróżnik Odyseusz, którego ciekawe przygody opisał poeta grecki, Homer. Aby uniknąć nieszczęścia i zdrady, zalepił on towarzyszym swoim uszy woskiem, siebie zaś mocno do masztu przywiązać kazał. Syreny, zrozpaczone, że tego bohatera uwieść nie zdołały, rzuciły się ze skały morskiej w otchłań.

Różne morskie potwory dopływały ongi aż do polskich wybrzeży. W r. 1516 złapano w czasie połowu śledzi w Morzu Bałtyckim tak zwanego Mnicha Morskiego, którego król Zygmunt kazał ususzyć i przez długi czas jako osobliwość gościom swoim pokazywał. W tym samym miejscu złowiono w r. 1531 Morskiego Biskupa, którego głowa do złudzenia przypominała biskupią infułę. A w Holandii, w r. 1588, jak o tym wyczytaliśmy w pewnej starej księdze, wyrzuciło morze na ląd kobietę morską. Oswojono ją i nauczono pacierza, który milczkiem odmawiała, gdyż była niemową. W tym samym czasie w Dalmacji złowiony został człowiek morski, pokryty skórą jak na węgorku; obie jego nogi miały zamiast stóp rybie ogony. Podobnych faktów przytoczyć można niezliczone mnóstwo. Oto niektóre z nich: w Nilu ukazali się niegdyś ludowi starzec z kobietą, do pasa w wodzie zanu-

rzeni. Zaklinano ich na Boga, żeby pozwolili przyjrzeć się sobie. Zniewoleni tymi prośbami, stali tak do rana, po czym znikli [sic] w głębi fal. Za papieża Eugeniusza IV spostrzeżono koło miasta Sybinik w Ilirii Satyra Morskiego z głową uzbrojoną małymi rogami. Niósł on dziecko na rękach – na rękach, należy zaznaczyć, mających tylko po dwa palce, między którymi rozciągały się nietoperzowe błony. Biedne dziecko siłą mu odebrano, po czym kijami go zatłuczono...

*

* *

Takimi oto bredniami i bajdami karmiono niegdyś naród, w takie nonsensy i androny kazano wierzyć szerokim masom ludowym, zdany na jedyną dostępną im „literaturę”: na jarmarczne lub odpustowe broszurki, szerzące przesady, zabobony, wiarę w strachy i upiory, albo wieści o takich „cudownościach” jak te, któreśmy powyżej podali. Nie bez powodu rozpowszechniano wszystkie te głupstwa. Cel był wyraźny: utrzymać lud w ciemnocie, zaprzętnąć jego umysł dzikimi fantazjami nieuków i bajczarzy, nie dopuścić do chat wiejskich światła prawdziwej, na doświadczeniu opartej wiedzy, gdyż w świetle nauki i wiedzy ukazałaby się jednocześnie oczom ludzi krzywdzonych i wyzyskiwanych cała nędza ich bytu, cała ponura rzeczywistość, na jaką przez całe wieki [słowo skreślone – A.K.] skazane były miliony pracujących ludzi.

Polska Ludowa niesie wam oświatę, prawdę o życiu, prawdę o zjawiskach natury. Polska Ludowa wychowuje wasze dzieci tak, aby wyrosli z nich rozumni, wykształceni i myślący obywatele. Będą z nich dzielni inżynierowie, technicy, lekarze, przyrodnicy, historycy, pisarze, będą wynalazcy, żeglarze, światli robotnicy we wszystkich dziedzinach przemysłu, będą współtwórcy nowej, szczęśliwej epoki w dziejach naszej ukochanej ojczyzny. Cześć światłu i wiedzy! Cześć nauce i rozmowi! Cześć książce i szkole!